

# TADEUSZ KONWICKI

## NIC ALBO NIC



Tadeusz Konwicki

NIC ALBO NIC

Wydawnictwo Estymator  
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-52-2

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,  
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował  
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa 1974

Projekt okładki: Olga Bołdok

Taki jeden szpak, ciemny jak stary odważnik funtowy, skakał z gałęzi na gałąź coraz wyżej w wielkim krzaku zdziczałego bzu, albo może kruszyny, bo kto by tutaj sadził bzy. I musiał to być naprawdę szpak, choć powietrze woniało jeszcze silnymi przymrozkami. Tego roku, pamiętam dobrze, szpaki przyleciały wyjątkowo wcześnie. Więc ów szpak otwierał i przymykał swój dziobek, lecz my nie słyszeliśmy jego pogwizdywania. Trochę już nas bolało w plecach od napięcia. I ciągle czekaliśmy na ten bydłęcy krzyk. Rzeczywiście po chwili chłop zaczynał wyc na nowo, od początku całą kadencję strachu, bólu i agonii. W końcu charczał i milkł. Wtedy chyba żandarmi ponawiali pytanie, gdzie ukrył konia.

Daleko, pewnie na brzegu puszczy, odzywały się rzadkie strzały, jakby ktoś z wielkiego kosza wysypywał jabłka na podłogę.

Achilles, który kiedyś będzie profesorem historii, opuścił powieki na wielkie psie oczy.

– Ciekawe, co z nim zrobi komendant – powiedział jakby do siebie.

– Z kim?

– No z tym Niemcem.

Przypuszczałem, że słucha ryków chłopca, lecz on myślał ciągle o Niemcu, którego złapaliśmy w nocy. Ten Niemiec, jakiś obergefreiter z oddziału cyklistów, siedział zamknięty w chlewie przylegającym do stodoły, gdzie męczyli się nasi żandarmi zwani kanarkami od koloru opasek noszonych na lewym ramieniu. Obergefreiter miał pecha. Najechał po ciemku rowerem na naszych szperaczy. Wywrócił się w gęste wrzosa i leżał cichutko, jakby słuchał śpiewu koła, które, kręcąc się w dalszym ciągu, tarło o zgięte widełki.

– Przecież nie puści go wolno – zastanawiał się Achilles, mój kolega z gimnazjum.

Żandarm wyszedł ze stodoły, umaczał w kałuży lejce i ciężkim kłusem pobiegł z powrotem. Jego pomocnik starannie przywarł wielkie wrota. Chłop, który ukrył konie, zaskomlił z nową energią.

– Po wojnie musi być inaczej.

– Jeśli przeżyjemy, urządzimy to wszystko po swojemu – rzekł Achilles. – Wojna musiała przyjść.

– Chyba lepiej, że przyszła. Niech spali stary szmelc.

– A pamiętasz, Stary, jaki dziś dzień?

– Nie pamiętam.

– Wielka Sobota. Gdybyśmy wyszli z puszczy, usłyszelibyśmy dzwony. Dziś wszędzie biją dzwony.

– W nocy zmartwychwstanie Jezus Chrystus.

– Komendant na pewno zwolni.

– Kogo?

– Tego Niemca, Stary.

– Puszcza jest otoczona przez obławę. Jak może zwolnić?

– On się boi.

– Czego?

– On się boi.

Chłop chrypiał żałośnie w stodole. Pomocnik żandarma wyszedł na podwórze z papierosem, żeby nie zaproszyć ognia. Patrzył w niebo, a właściwie w brzuchate chmury, co gnały milczkiem na południe.

– Od początku – rzekł cicho Achilles i przerwał na krótki moment. – Od narodzin rządzi człowiekiem niesprawiedliwość.

– Bo ludzie zawsze byli głupi.

– Szkoda, że nie słyszą dzwonów.

– Jak myślisz, to ostatnia wojenna Wielkanoc?

– Tak, ostatnia zła Wielkanoc.

Ściana puszczy stała nieruchomo i ciągle nam się wydawało, że zaraz ktoś wynurzy się z jej mrocznych szpar. Nawet te szerniałe chałupy osady, osady zwanej Parchy, nawet te stare chałupy chyliły się czujnie, jakby oczekując raptownego ciosu. Tak już było od samego rana.

– Mam gorączkę, słyszysz? – powiedziałem do Achillesa, który po wojnie będzie historykiem, albo ministrem, lub ministrem i historykiem jednocześnie. – Trzęsie mną cały czas. Aż bolą szczęki od powstrzymywania.

Achilles zmrużył swoje psie oczy.

– Żebyśmy tylko wytrwali. Żeby nam starczyło sił – zaszeptał myśląc o czymś innym.

Nasza puszcza zajmowała obszar prawie tysiąca kilometrów. To była prawdziwa stara puszcza. Przeważały w niej sosny, a sosny lubią szczerzy piach, niewysokie pagóry i wrzosowiska. Świerków też nie brakło, świerków ogromnych, co brodziły w paprociach podobnych wachlarzom egipskich faraonów. Były i inne drzewa. Całe lasy dębów, klonów, grabów, a nawet olch. Tam już rzadko kto trafiał. Tam już były bagna, trzęsawiska, rojsty. Przez puszcę płynęła jedna wielka rzeka i kilka małych. W tej wielkiej rzece uczyliśmy się pływać. Bardzo, bardzo dawno, jeszcze przed wojną. Jechało się najpierw koleją, a potem końmi. Świstał szkliście piach przerywany kołami bryczki, wielkie gzy miotały się nad zadami końskimi, czarne ogony kolebały się jak wahadła zegarów, pachniało zwierzęcym potem, kurzem leśnym i jakąś dziwną dalekością. Potem furman wołał żałośnie przez rzekę na przewoźnika, wołał monotonnie i bez wiary w skuteczność, wołał tak nieraz dobre dwie godziny. Wreszcie ruszał prom, skrzypiąc drewnianym kołowrotem, a my, znudzeni oczekiwaniem, brodziliśmy w piwnej wodzie wśród jakichś dziwnych kwiatów i ziół, rozrośniętych, ogromnych, chorych na wybujałość. Tak zaczynały się wakacje w tej puszczy.

Nasza puszcza była twierdzą wszystkich powstań polskich. Od losów powstańczych brały swoją nazwę puszczańskie pagórki, doliny, uroczyska. Po tych powstańcach zostały krzyże kamienne i drewniane. Przeżyły aż do ostatniej wojny jakieś legendy, bajdy, gadki. Nikt nie ruszał w puszcę nocą. Ale i za dnia spotkać można było mściwych pogańskich bożków, histeryczne duchy grzeszników, upiorne widma zamordowanych niewinnie. To była zła puszcza. Pamiętam ciągle jeszcze te pierwsze wakacje i te upalne noce bez końca, noce pełne zjaw, umarłych i szatanów. I nikt by wtedy nie uwierzył, że za dwadzieścia lat już nie będzie naszej złej puszczy.

Przyszedł Anioł, chciał coś powiedzieć, ale zasłuchał się w tym płaczu chłopca, który ukrył konie. Machinalnie poprawiał swoje medale na piersi, jakby przebierał ziarnka różańca. A miał tam i niemieckie krzyże żelazne, i ordery wszystkich świętych carskich, i odznaczenia litewskie, i jakieś gwiazdy austrowęgierskie, i nawet coś tureckiego. Ta jego pierś pod okapem skudłanej brody przypominała trochę przydrożną kapliczkę z wotami.

Przeżegnał się trzykrotnie, splunął na wszelki wypadek.

– Panie plutonowy, w łaźni czekają – powiedział, jakby kończył antyfonę.

Achilles wstał z sągu drzewa, podzwaniając rynsztunkiem.

– Może on naprawdę koni nie ma? Może już inni zabrali?

– Ma, panie plutonowy, musi mieć – rzekł Anioł. – To grzeszny człowiek. Oni wszyscy w tym zaścianku grzeszni. Niech Wszchemogący ma nas w swojej opiece. Tu jeszcze coś się stanie – i przeżegnał się znowu skwapliwie.

Zatrząsałem się od tej mojej gorączki.

– Nie pieprz, Aniele, bez sensu – mruknął Achilles.

– O Hospodi, panie plutonowy, panie plutonowy, czy ja co zmyślam? Czy ja kiedykolwiek zełgałem? O Hospodi.

Mówił to szybko, jakby lękał się zgubić wątek modlitwy, i ciągnął Achillesa w stronę chlewiku.

– Pan sam zobaczy, panie plutonowy.

– No co ja zobaczę?

– O tu, Hospodi, w tej szparze.

Przytknęliśmy czoła do szczeliny w drzwiach chlewu. Zobaczyliśmy Niemca, który siedział na dnie drewnianej dzieży. Odwrócony twarzą do ściany pewnie drzemał, bo z gwałtownym podrygiem ocykał się co chwila.

– Patrzy na nas – zaszeptał Anioł.

– Kto patrzy? – spytał cicho Achilles.

– Pan major.

Wtedy dopiero ujrzeliśmy zwłoki majora Konara. Leżał pod drugą ścianą na świerkowych noszach, jakby odpoczywał po dalekiej drodze. I patrzył na nas błyszczącymi oczami.

– Przecież sam komendant zamknął mu powieki nad ranem – rzekł Achilles przelękniętym głosem.

– No widzi pan plutonowy. A teraz znowu otworzył. Hospodi, jeszcze coś się stanie.

– Trzeba położyć na powiekach jakieś monety. Może masz, Stary?

– Skąd? Pieniądzy nie nosimy w lesie.

Anioł zdjął skobel, otworzył drzwi. Stanęliśmy w nogach poległego. Major Konar patrzył na mnie z gniewem, albo raczej z bólem. Patrzył tak, jakby za chwilę miał się zerwać z tego posłania woniejącego żywicą.

– Niech jeniec przytrzyma – powiedział Anioł.

Achilles wahał się, stropiony propozycją.

– Może to jego kula zabiła majora? Tak będzie najlepiej. Niech on trzyma.

Cmoknął ustami jak na konia. Niemiec odwrócił się wolno, ziewając zaraźliwie. Mrugał oczami i nic nie rozumiał.

– Chono tu, chono – rozkazał Anioł.

Niemiec przysunął się na kolanach. Gdzieś w puszczy wstawał przedwieczorny wiatr. Nieszczelne belki chlewu odezwały się jak flety.

Anioł ujął rękę Niemca i położył ją na oczach zabitego.

– Tak trzymaj, rozumiesz?

Przeżegnał majora dłonią obrosłą smolistym włosem. Niemiec wzdrygnął się, chciał cofnąć ramię. Widocznie poczuł już mokre zimno.

– Uch ty! – zamierzył się Anioł.

Niemiec posłusznie przygniótł palcami oczy majora Konara. Błyskał lekliwie w naszą stronę okularami w drucianej oprawie.

Anioł zaskrzypiał furtą, dawał znać, że należy odejść. Lecz Achilles trwał nieruchomo przed zabłoconymi stopami poległego. Wydawało się, że słucha wiatru podobnego okarynie. Ale on patrzył na tego obergefretira i jakby go do czegoś albo do kogoś przymierzał. Obmacywał wzrokiem jego kościstą głowę z rzadkimi włosami, w których sporo już było srebrnych, ślizgał się po zapadłych policzkach brudnych od niegolonego zarostu, badał kabłąkowany grzbiet pod wytartym sukniem. Niemiec bał się wzroku Achillesa. Zaciskał palce na gałkach oczu majora Konara, aż mu zbieleły kolanka stawów.

– Panie plutonowy, w łaźni czekają – rzekł cicho Anioł od progu.

– On się nada – mruknął Achilles. – Tak, to będzie on.

I wyszedł na podwórze. Koło drogi stał Ławrentij. Opierał się na erkaemie, patrząc ciężko na zrudziałą pasiekę po drugiej stronie.

– Masz papirosku? – spytał, nie odrywając wzroku od trawy jak wilcza sierść.

Achilles sychnął mu do ręki garstkę machorki śmierdzącej kieszeni. Wartownik kiwnął głową beznamiętnie i zaczął szukać w zanadrzu gazety.

– Ławrentij – rzekł Anioł. – Chrestos wskres.

Wartownik znowu kiwnął głową w milczeniu.

– Czujesz, Ławrentij? Chrestos wskres – powtórzył Anioł.

– Ładno – kiwnął głową erkaemista.

– A mnie się wydaje, że słyszę dzwony – powiedziałem nagle.

Anioł przystanął, odgarnął z uszu długie, kręcone włosy.

– Gdzie tam dzwony. To wymarły las jęczy. Tu niedaleko jest taki kawałek martwizny. Za życia milczał, a po śmierci śpiewa przy wietrze. Uch, bezwstydna, bezwstydna – i zgrzytnął nieprzyjemnie srebrnymi zębami, którymi lubił się chwalić.

Ale ona udawała, że nas nie widzi. Ta dziewczyna, do której chodzili od rana partyzanci. Rozpierała się łokciami na spróchniałym parapecie okna, patrzyła gdzieś ponad puszcza w wątłą siność wiosennego nieba. Czarny krzyż ramy przesłaniał cieniste zakłęśnienie między obfitymi piersiami. Włosy płonęły jak wielka georginia, lecz to chyba tylko szyba okienna błyszczała luną przedzachodnią.

Przypominam sobie, co wtedy ile kosztowało. Dzień pracy ludzkiej kosztował pół bochenka chleba, fortepian – dwa worki kartofli, życie kogoś bliskiego – szczyptę brylantów albo stosunek płciowy gdzieś pośrodku schodów, na stole lub w ustępie. Ale naprawdę to ceny były jednak bardziej zawile. Kiedyś na starość będę sobie przypominał, ile kosztowała sól, mąka, wiązka drzewa, używane spodnie, ćwiartka nafty, fałszywe dokumenty, nieszczęśliwa dziewczyna.

Z otwartych drzwi łaźni wykotłował się gorący obłok pary.

– Zamykać! Kto tam otwiera! – zaprotestowały jakieś na pół rozebrane postacie.

Sień łaźni wspierała się na czterech kamieniach pełnych błyszczącej miki. Dołem ciągnęło więc zimno łaskoczące łydki. Achilles z namaszczeniem zdejmował mundur, odpinał jakieś pasy i chlebaki, skacząc na chudej nodze. Ktoś podśpiewywał w mroku wypełnionym parą.

– Oni są podpici – odezwałem się cicho.

– Czym? Tu nie znajdziesz ziarnka żyta.

– Nawet od Anioła jedzie samogonem.

– Oni tak udają. Cóż to za Wielkanoc byłaby bez litra hary?

Ciągle ktoś wchodził do izby łaźiebnej albo z niej wychodził. Poprzez mętność oparów widziałem zarys półek i obłości nagich ciał. Zdało mi się przez moment, że łyśnęły w kącie kolebiące się piersi kobiece.

Skądś wynurzył się Pan. Z jego żółtej brody kapwały wielkie krople wrzątku.

– Ihu! – wrzasnął cienkim głosem. – Nie życie, a malina!

– Przestań bawić się przyrodzeniem, bo cię Pan Bóg skarże – rzekł surowo

Anioł.

Pan zatoczył się, rąbnął plecami w osmolone dymem belki.

– O tu, masz, kropidelko na nieszpory, cukierczek na odpust.

– Hospodi, paszoł won z tym świństwem.

– Nie życie, a malina! Prawda, panie plutonowy? Byliście już u Heni? Nie?

Jeszcze nie? Ach leniuszki, leniuszki. To zacna dziewczyna. Wie pan, jej rodzice mieli przed wojną kamienicę w mieście. Widział pan, jaki medalik nosi na piersi? Dukatowe złoto. Apsik! Zamknijcie tam, cholera, drzwi.

Weszliśmy do izby łaziennej. W tej chwili ktoś podbiegł z cebrzykiem i chlusnął wodą na rozpalone kamienie. Gorące powietrze ścisnęło za gardło piekącym uchwytem. Poznałem ostrą woń uschniętych liści brzoźowych.

– Dawaj, dawaj! – krzyczał już z najwyższej półki Pan. – Mało, jeszcze raz, żulio!

Znowu oblano kamienie. Któryś strzelił raptownie jak moździerz. Odezwały się krzyki ni to protestu, ni to ekstazy. Wydało mi się, że słyszę też wysokie, histeryczne głosy kobiet.

– Patrz pan, Stary – z gorącej mgły wynurzył się Anioł. Trzymał uniesione nad głową dłonie. – Widziałeś kiedy znaki boskie?

– Jakie znaki? Co ty bredzisz, Anioł?

Rozsunął czarną sierść pod sutką.

– O tu, krwawy stygmat. Od włóczni.

– Nic nie widzę.

– A na dłoniach? Spójrz, krew przebija skórę jak bibułę.

– Wysmagaleś się wienikiem brzoźowym.

Cały był zarośnięty ciemną szczeciną niczym zwierzę. Nawet męskość jego ginęła gdzieś w kudłach. Przypominał trochę odyńca wspiętego na tylne nogi.

– Ja kiedyś paliłem się żywcem – usiłował przekrzyczeć wrzaski chwoścących się miotłami z różeg brzoźowych. – To znaczy my całym zaściankiem paliliśmy się w cerkwi.

– Anioł, gdzieście tu dostali samogon?

– Ja potrafię i bez samogonu.

– Oni wszyscy pili?

– Chrestos woskres. Stary, nie kusi ciebie, żeby podsunąć żaru z pieca pod te bierwiona suche jak huba?

– Co ci chodzi po głowie? Nie boisz się grzechu?

– Śmierć człowieka to nie grzech. To swoboda od grzechu. Pojednanie z Bogiem.

Cała wieś się spaliła, a mnie odratowali kupcy. Żydzi wieźli towar z przemytu i tymi grzesznymi rękami wyciągnęli, biedniutkiego, z ognia. Ile ja wtedy miałem lat? Może trzy, może cztery, najwyżej pięć. Widzisz, jakie nieszczęście, jaka straszna hańba. Pchnij mnie, Stary, na te kamienie.

– Odejdź, Anioł. Mną rzuca gorączka. Przeziębilem się ostatniej nocy.

– Ty się boisz rzymskiego Boga. Tłustego, grzesznego Boga, który siedzi na przyźnie złota i ssie ludzką krew.

– Ja naprawdę słyszę dalekie dzwony – powiedziałem zaschniętym gardłem.

Z półki oblepionej szerniałymi liśćmi wysunęła się psia głowa Achillesa.

– On ma rację – łapał z trudem oddech. – Wszystko zgniło. Trzeba spalić padlinę i śmiecie, a potem zacząć od początku.

– Kto zacznie? – spytałem szukając dzieży z chłodną wodą.

– My zaczniemy. Ty, ja, może Anioł, nawet Pan. Czyści od brudu, wolni od przekłętej pamięci, uzbrojeni w wiarę.

Ktoś śmiał się histerycznie w kącie łaźni. Była to chyba kobieta. Chlusnięto nowym cebrem wody na kamienie, a mnie się zrobiło zimno.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– Trzeba się łamać ze słabością, Stary – zabełkotał Achilles. – Idą czasy silnych ludzi i twardych czynów.

– Przecież my nie jesteśmy silni ludzie. Twój ojciec nosi kury do rzeźnika, bo sam nie potrafi.

– Od nas wszystko zależy, Stary. To przełomowy okres. Początek nowej ery.

Z palących jak płomień mgieł wyplątał się chwiejnie Pan.

– Hospodi, ty ciągle bawisz się nieczystym – jęknął Anioł.



– Chłopy, w try boha mać, otoczyli nas jak szubieniczną pętlą. Tankietki, armaty, wyuczone mordowania ludzi, psy. Ot noc, wielka noc.  
– To może oni dzwonią? Bo ja ciągle słyszę dzwony. Aż mi w czasce chrupie.  
– Nie pęknieś, kiedy przyjdzie czas? – zaszeptał Achilles w kłębie suchej pary.

Pamiętam polskich Żydów: wrzaskliwych, nachalnych, pozbawionych skrupułów. To oni pochłaniali miasteczka i miasta, wypierali zewsząd gojów, wprowadzali swoje prawa i zwyczaje. Biedni, a właściwie nędzni, cuchnący chorem potem i ubóstwem, krzatali się po tej ziemi stadami jak Cyganie lub Beduini. Nienawidzący europejskiego piękna, ubierali się w bure chałaty i wypłowiłe jarmułki, adoptowali skwapliwie styl rosyjskiego muzyka. Po wiekach współżycia z gojami nie nauczyli się ich mowy. Porozumiewali się żargonem wyniesionym z niemieckiego domu niewoli, charczeli między sobą egzotycznie. Ich ulice były niebrukowane i śmierdzące rynsztokami, ich domy pożerał wieczny grzyb, ich bydło padało z głodu i ciężkiej pracy. Żyli jak społeczność innego kontynentu otoczona niewidzialnym murem wznoszonym gorliwie i przez gudłajów, i przez gojów. Prawa, instytucje, aspiracje Polaków były im obojętne i wrogie. Sami z siebie snuli cienki wątek smutku, ironii, rezygnacji. Z dorobku wieków wytapiali drobnutkie okruchy własnej i obcej dla innych obyczajowości, estetyki zawartej w prymitywnych pieśniach i jarmarcznych zabawach, filozofii wyrażającej się w bierności, w fatalizmie, w tęsknocie do bezsensu. Przed Sądnym Dniem, który wypadł gdzieś w początkach złotej, gorącej jesieni, modlili się płacząco nocami w synagogach, bóżnicach i drewnianych chatach ze słomianą strzechą, w kurnych chałupach pełnych wychudłych zwierząt, w zachwaszczonych ogrodach jarzących się słonecznikami. W ten czas i goje przestawali pogardzać Żydami, zapominali o szyderstwach i szykanach, bo i ich zdejmował nierozumny, tajemniczy strach przed nieznanym, i oni patrzyli z lękiem w wygwieżdżone niebo, czekając, że zobaczą tam unoszonych w nicość przez szatana bezbożnych Żydów.

A jednak ci goje i ci Żydzi nie mogli obejść się bez siebie. W tej niechęci, a często również nienawiści, która ich łączyła, było wiele bezsensownego przywiązania, było poczucie jakiejś irracjonalnej wspólnoty, rodzaj niezdrowej wzajemnej ciekawości, jakiś instynktowny pociąg objawiający się w skandalicznych mezaliansach, w historycznych przyjaźniach, w zbieżnych tragicznych losach.

A potem nagle jednej nocy wojennej esesmani wywieźli wszystkich gudłajów za miasto, do takiego piaszczystego lasu, i rozstrzelali nad ranem całe Żydostwo naszej ziemi. I nazajutrz już nikt nie oszukiwał chrześcijanina, nikt nie handlował pierzem albo starym ubraniem, nikt nie przekręcał charkotliwie polskiej mowy, nikt nie przeklinał na wieczne czasy głupich gojów, nikt nie układał bezsensownych moralitetów ani nie malował w jaskrawe barwy odpustowych zabawek, nikt nie wsadzał czulentu do dochówki, nikt nie zapalał szabasowej świecy.

I nikt już nigdy nie odtworzy ich życia. I nikt już nigdy nie odkopie ruin ich miast, ich posągów, naczyń rytualnych i nagrobków. I nikt nigdy nie uogólni i nie podniesie do nieba ich myśli, tęsknot oraz marzeń.

Ostro zagrała seria erkaemu. Różaniec suchych detonacji, zdawało się, załomotał w poszyciu łaźni Runęliśmy na podłogę. Ktoś przewrócił ceber z wodą. Chłodne, ruchliwe strużki, jak gąsienice, pełżyły wzdłuż boków, dostawały się pomiędzy palce przyciśnięte do oślizgłych desek.

– Hospodi, mówilem, że coś się stanie – zaszeptał Anioł.  
– Ubierać się, przygotować broń – rozkazał Achilles. – Zagaście ogień w kamieniach.

Popychając się runęliśmy do sieni. Ktoś poślizgnął się, rozkraczył w szpagacie na sztywniejącym od przymrozku bloku. Teraz odezwały się pojedyncze strzały

karabinowe. Wciągałem na siebie jakiś przyodziewek. Wcale nie wiedziałem, czy to mój. Te zmięte łachy stawiały zacięty opór.

– Los przekłety. Nie zdążyłem nawet pogiglać Heni – skarżył się roztrzęsionym głosem Pan. Widać tracił w pośpiechu równowagę, bo ciągle uderzał pięścią w ścianę.

– Ścichnij ty – syknął Anioł. – Zamknij to grzeszne ryło.

– A u niej jest co giglać. Dla dwóch osób starczy, aż strach przypomnieć. Ot masz teraz.

– Pojedynczo wyskakiwać i za płot – rozkazał Achilles.

Rzuciliśmy się przez krzywe drzwi na podwórko. Pan w biegu puścił serię z automatu w stronę szerniałej już puszczy. Koło płotu klęczał Łysy. Jego ogromna czupryna sterczała stromo nad pomarszczonym pracowicie czołem.

– Do kogo strzelacie? – spytałem chrapliwie.

– Ja nie wiem – powiedział Łysy. – Zdaje się Ławrentij zaczął.

Pan pruł już gęstą serią wzdłuż łączki z uschniętymi badylami, które rozpryskiwały się od kul.

Achilles okraczył bosą nogą żerdź ogrodzenia.

– Skokami, za mną! – krzyknął nienaturalnie cienkim głosem.

Gdzieś obok nas znowu posypały się strzały. Ktoś zawył krótko, ktoś lupnął drzwiami, aż brzękły jakieś szyby, zagdakała skądś wystraszona kura.

– Naprzód, skurwysyny! – wrzasnął Achilles.

– Stać, stać! Nie strzelać! – usłyszeliśmy nosowy głos.

Zatrzymaliśmy się w pół ruchu. Poznaliśmy ten głos. Jeszcze gdzieś na skraju zaścianka ktoś lupnął na wiwat.

Komendant stał w gaciach na ganeczku. Jedną ręką przyciskał poduszkę do biodra, drugą zakrywał otwarte w ziewaniu usta. Potem zapytał coś sennie. Nikt nie odpowiadał.

– Kto zaczął strzelać? – powtórzył.

Wolno zszedł ze stopni, omijając starannie trzaski wokół pnia z siekierą, ruszył w naszą stronę.

– Nie wiem, panie komendancie – rzekł Achilles. – Pewnie ktoś przy drodze.

– To ty? – komendant kiwnął głową na Łysego.

– Dlaczego zawsze ja, panie kapitanie? Mnie się w ogóle zaciął automat. To pewnie Ławrentij.

Dołem z puszczy szedł już nocny wiatr. Czochrał poufale wielkie krzaki zdziczałego bzu albo kruszyny.

– To ty, Ławrentij? – spytał komendant.

Wartownik nadchodził podpierając się erkaemem jak kijem.

– Paczemu ja?

– Do kogo strzelałeś?

Ławrentij stanął niedbale kilka kroków przed komendantem. Wszystko na nim było niedopięte, krzywo włożone, niechlujne. I jakby na przekór tej abnegacji, twarz jego zaskakiwała niespotykaną urodą. Patrzył chmurnie spod ogromnych rzęs, wydymając jaskrawoczerwone usta, na które nawet starzy partyzanci spoglądali z grzeszną zgrozą.

– Na trewogu, pan kamiendant, na alarm – rzekł sennie. – Kto to inny naczał.

Komendant przesunął poduszkę na grzbiet. Kiwał w zamyśleniu głową.

– Co to jest, Achilles? Co to ma znaczyć?

– Nie wiem, panie komendancie, myśmy byli w łaźni.

– Tak nie odpowiada dowódca – rzekł ziewając kapitan, ale w oczach jego połyskiwało jakieś czujne cierpienie. – Nie panujesz nad ludźmi. To już druga strzelanina w ciągu doby.

Puszcza huczała jak wielka rzeka wezbrana powodzią. Stado dzikich ptaków zeglowało krzywo pod wiatr z przejmującym kwileniem. Achilles opuścił wzrok i patrzył w ziemię.

– Zły czas, panie komendancie – powiedział Anioł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zły czas przyszedł na nas, panie komendancie. Coś się stanie strasznego. Ja wiem, co mówię.

Zaczął żegnać się śpiesznie i bić pokłony komendantowi.

– Idźże do ciężkiej cholery ze swoimi przepowiedniami. Ile razy ci mówiłem, żebyś zdjął z siebie to żelastwo?

Dopiero teraz spostrzegłem, kiedy wiatr szarpał strąkami włosów komendanta, że wiele już w nich siwizny. Gdzieś w puszczy znowu odezwała się palba karabinowa.

– Franio! Franc! – krzyknął komendant.

Z chaty wybiegł wielka osilek w opiętym mundurze lotnika niemieckiego bez dystynkcji. Głowa jego wyglądała jak obandażowana. Lecz to białe włosy sprawiały takie wrażenie.

– Franiu, przejmij dowództwo warty – rzekł zmęczonym głosem komendant. – I niech już wreszcie będzie spokój.

Franio, czyli Franc zaczął wrzeszczeć jak opętany jakimś dziwnym żargonem polsko-niemieckim. A komendant ruszył w stronę ganeczku. Włókł sztywną lewą nogą, opatulając zadek poduszką bez powłoczki. Jęczał cichutko i mruczał do siebie.

Wtedy w głębi puszczy zaczęło coś gdakać jak stara rozrajbowana sieczkarnia.

– Lotnik, kryj się! – krzyknął Achilles.

Przypadłem do chlewu. Spomiędzy zawadiacko kędzierzawych sosen wyleciał wielki komar. To był sztorch, niemiecki samolot zwiadowczy. Gęgał chwilę z paralitycznie sztywnymi nogami podwozia i wyglądało to, jakby chciał nimi schwytać czuby drzew. Potem ucichł w tej stronie puszczy, gdzie było uroczysko zwane Ostatnim Dniem.

Chciałem już wstać z ziemi ściętej wieczornym przymrozkiem, lecz w tym momencie zobaczyłem przez szparę ich obu. Skądś przez dziurawy strych dostawała się tu ceglasta luna przedzachodnia. I w tej rumianej mazi światła trwali nieruchomo obok siebie major Konar i Niemiec z naszywkami obergefretira. Niemiec przykrywał dłonią twarz poległego, jakby mu zatykał rozwarłe do krzyku usta. Widocznie czuł na sobie mój wzrok, bo twarz jego podrygiwała w nieregularnych skurczach. A ja patrzyłem na tego człowieka w starannym mundurze uszytym przez precyzyjne fabryki, na dobre szkła okularów wytopione w sławnej Jenie, na tę jego głowę wymodelowaną przez wieki w starej rodzinie mieszczańskiej Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. I wiedziałem już, że los nas połączył na zawsze.

Zapamiętałem niektóre dane personalne Ławrentija. Młodszy lejtnant Armii Czerwonej. W roku 1940 jako zwykły żołnierz brał udział w wojnie z Finlandią. Odmrożenia, choroba w wyniku parutygodniowego odżywiania się burakami pastewnymi wydzieranymi spod śniegu na jakimś polu, pewnie kołchozowym. Potem wojna z Niemcami, okrażenie. Przedzierał się na wschód kilka miesięcy przez zaplecze niemieckie. Raniony, dostał się do niewoli. Potem w obozie zgłosił się na ochotnika do oddziałów Własowa. Przy okazji zbiegł do radzieckiej partyzantki. Ranny w jakiejś akcji, znowu trafił do obozu. Jeszcze raz oddziały Własowa i front wschodni. Ponownie kontuzjowany, tym razem przez swoich, znalazł się w szpitalu. Stamtąd na ochotnika zgłosił się do formacji ukraińskich pilnujących niemieckiej kolei. Na moście kolejowym ujął go któryś z oddziałów naszej brygady. W ten sposób został polskim partyzantem. Wychowanek domu sierot, zaczynał jako bezpryzorny. Z zawodu

kinomechanik. Chory na cukrzycę, otrzymuje codziennie, jeśli to możliwe, przydział stu gramów wódki albo samogonu.

W oknie chaty Dawidowiczów znowu pokazała się ta rudowłosa. Jej także dzień się dłużył: ziewała ze smutkiem, odwracając dyskretnie głowę gdzieś w bok, w niebieskawą ciemność izby. Jakiś partyzant wyszedł z jej drzwi i pobiegł, nie oglądając się w stronę starych pieców smolarni, od których szedł szczypiący smród terpentyny. Dopiero przy sagach wielkich karczów zatrzymał się na chwilę, obejrzał ostrożnie. Ale rudowłosa Henia nie patrzyła wcale za nim. Niewidzącymi oczami spoglądała na mnie, jak trzeszcząc podszwami w cienkim lodzie, szedłem do zagrody Salomonowiczów.

Łysy w towarzystwie jakichś nowych grał w wielkanocne jajka okrągłymi kamykami. Toczyli kamienne kule po rynnie z brzozonej kory. Łysy niby to się zataczał, niby nie panował nad ruchami, ale już ich ograł i musieli z twardej ziemi wyrwać nowe kamyki, które zastępowały im pisanki.

U Salomonowiczów Ławrentij siedział pod bieloną ścianą i coś tam wystukiwał palcami na ochronie lufy erkaemu. Pewnie jakąś swoją pieśń albo refren szlagieru nadwołżańskiego. Achilles żuł szczękami, patrząc w ponurej zadumie na święte obrazy. Gdzieś za piecem pojękiwał Salomonowicz obłożony kompresem.

– Ciągłe myślisz o tej poprzedniej nocy? – spytałem. Ja w przyszłości miałem zostać sławnym podróżnikiem.

– Tak – powiedział, nie przestając żuć pustymi ustami. – To dziwne. Sam nie wiem, jak to się stało.

– Zwykła panika. Taki odruch ludzki. Wszyscy rozbiegli się po pierwszym strzale. Zdarza się czasem najlepszym.

– Ale w moim plutonie nigdy tego nie było.

– Powietrze wonieje wiosną i końcem wojny.

– Właśnie. W takim momencie – zamyślił się znowu posepnie.

– Żeby wam Matka Boska ręce i nogi połamała, żebyście jutrzejszego dnia nie dożyli – zachrypiała raptem Salomonowiczowa. Miała wielką, kościstą twarz pełną blizn po ospie. W ogóle była rosła i szeroka. Udawaliśmy, że nie słyszymy jej przekleństw.

– Achilles – powiedziałem cicho.

Uniósł swój suchy pysk z ruchliwymi chrapami.

– Jutro twoje urodziny.

– A tak. Skończę dziewiętnaście lat.

– Coś sobie zamyśliłeś na urodziny?

– A tak. Coś sobie zamyślam cały czas. Stary, można na ciebie liczyć?

– Przecież wiesz.

– Nadchodzi nasza pora.

Zakotłował się kilimek z czarnych i czerwonych krzyżyków. Pan niósł od pieca glinianą misę pełną blinów.

– A żeby wam kością w gardle stanęły, żeby wam kiszki popękały, żebyście tego wysrać do końca życia nie mogli – zgrzytnęła męskim głosem Salomonowiczowa.

– Chodźcie, chodźcie, ptaszki, do stołu – rzekł trochę bełkotliwie Pan. – Więcej w tych blinach mikiny i otrąb, ale zawsze głód oszukać można. Macie tu pamoczkę mojego wynalazku.

Zwijaliśmy placki w ruloniki i maczaliśmy w siemieniu lnianym podprażonym na patelni razem z czarną solą.

– Nie idzie mi – powiedziałem zniechęcony.

– Ładuj na siłę. Nie wiadomo, kiedy drugi raz będziemy jedli – mruzczał Achilles rozdierając pracowicie zębami twarde bliny.

Zbity powrozami Salomonowicz znowu zajęczał gdzieś na piecu.

– Żeby wam oczy wygniły... – odezwała się jego żona.

– No mamuńko, po co tak brzydko przeklinać w świąteczny dzień? – zatoczył się w jej stronę Pan. – Naprawdę koni potrzebujemy. Nieśliśmy majora całą noc, a przed nami jeszcze długa droga. Poległego trzeba pogrzebać jak człowieka. No nie, mamuńko?

– Żebyście konali i nigdy skonać nie mogli.

– Oj, mamuńko, bo się obrażę – warknął Pan, a jego żółta broda zaczęła trząść się, jakby czochrana przez niewidzialny wiatr.

– Co noc przychodzą z bronią to Polacy, to Ruscy, to Litwini, to Łotysze, to Niemcy. Każdy karabin przystawia do łba i daj to, daj tamto. A skąd my mamy brać? Sami puchniemy z głodu i czekamy końca świata jak zbawienia.

Achilles przełknął z mozołem kęs placka.

– Pani Salomonowiczowa, niech tylko skończy się wojna. Przyjdą nowe czasy.

Nowe porządki.

– Kto zrobi te porządki?

– My.

– Poznaliśmy wasze porządki, żeby was małanka spaliła.

– To nie my biliśmy pani męża. To żandarmi.

– Zawsze będą jakieś żandarmy.

– My obejdziemy się bez żandarmów.

– A kto wy tacy?

Pan podszedł do stołu, oparł się szeroko dłońmi na blacie szorstkim od gęstych słoików.

– To gimnaziści, mamuńko – rzekł szyderczo. – Oni będą zmieniać świat wedle podręczników.

Wtedy rozwarły się gwałtownie drzwi i na progu stanął rozczochrany Anioł.

Chwilę mrugał wybałuszonymi oczami, a potem stęknął opornym głosem:

– Znak. Jest znak.

– Idźże ty, pijanico – bluznął Pań.

– Wszechmogący zapalił znak. Dla was, owieczki boże. Uderzcie czołem i odmówcie modlitwę, bo coś się stanie, coś się musi stać.

Wysypaliśmy się przed dom. Na jasne niebo wypływały od dołu drobne kropelki fosforyzujących pocisków. To było gdzieś daleko, na skraju puszczy, w moczarach i uroczyskach omijanych zwykle przez ludzi.

– No i gdzie twój znak, głupku? – spytał Pan.

Anioł odwrócił się raptownie, brzęknąwszy rzęsicie orderami.

– Tam jest znak. Pałący się krzyż.

Spojrzelśmy na północną stronę nieba. Rzeczywiście coś tam majaczyło. Coś jak daleki pożar albo resztki łuny pozachodniej. Ławrentij w milczeniu bębnił palcami w swój erkaem.

Anioł rymnął na kolana, prawie dotknął czarnymi kędziorami chłopskiego apostoła mroźnej ziemi. Po nim uklękła Salomonowiczowa, wreszcie zdecydował się i Pan. Kilku innych partyzantów, ubranych z wiejska, klęczało koło płotu. Achilles wahał się, znowu żuł muskularnymi szczękami, przymrużał swoje psie oczy, pochylał nadmiernie wydłużony kadłub, on, który kiedyś będzie słynnym profesorem historii. Wreszcie zgiął ze skrzypieniem jedno kolano.

W drzwiach stanął zmaltretowany Salomonowicz.

– O Jezu, Jezu – zajęczał.

– Cśś – syknęła żona.

Zgrzytnęły jakieś wrota. Obejrzałem się za siebie. Przed chlewem stał Niemiec, który nie wiadomo jak wydostał się z zamknięcia. Patrzył chwilę na nas, potem obrócił oczy na północ. On widocznie także dostrzegł znak płonącego krzyża, bo wolno uklęknął, podkładając pod kolana niezbyt czystą chusteczkę.

– Hospodi, spal nas, oczyść w świętym ogniu, Hospodi – zajęczał Anioł. Jego krzyże obracały się wokół swojej osi, blikując rześciszczą wiosenną luną.

Zahuczało w puszczy. Jakiś odprysk ogromnego wiatru przeleciał drogę, uderzył w zaścianek smolarzy.

– Ja znowu słyszę dzwony – powiedziałem.

– O Jezu, mój Jezuniu – zaskomlił Salomonowicz.

I wtedy Ławrentij odezwał się cicho:

– Boga niet.

Anioł wyprostował się, odgarnął z twarzy świderki czarnych przeпоconych loków.

– Szto ty każesz, Ławrentij?

– Boga niet – powtórzył beznamiętnie Ławrentij.

Anioł wstał wolno z klęczek, zaczął zbliżać się do erkaemisty niepewnym, chwiejnym krokiem.

– Jak to, nie ma Boga? – mrugał czarnymi oczami zdjęty zgrozą. – Kto ci to powiedział?

– Nikt nie powiedział. Ja sam wiem.

Chyba po raz pierwszy Ławrentij uśmiechał się, troszeczkę, nie za bardzo, ale jednak się uśmiechał.

– A kto ci dał życie, Ławrentij?

– Ludzie.

– A skąd jest ziemia, niebo, noc, dzień, skąd my wszyscy jesteśmy? – w kątach ciemnych ust Anioła pokazała się żółtawa piana.

– Boga niet – powtórzył z flegmatycznym uporem Ławrentij.

Anioł zaczął się trząść. Patrzył olbrzymimi oczami w piękne tęczówki Ławrentija skryte cieniem niewiarygodnie długich rzęs i coraz bardziej podrygiwał, jakby wzmagął w sobie jakiś rytm, jakby przytakiwał rosnącemu spazmowi, jakby poddawał się miarowej i potężnej sile ni to tańca, ni to konwulsji. Wyciągnął przed siebie rozcapierzone dłonie, zaginał haczykowato i rozprostowywał palce, chwytając nimi śmierzące terpentyną powietrze tuż przed oczami Ławrentija. A potem poleciał nagle głową do przodu. Ławrentij uchylił się nieznacznie i Anioł minął go, uderzył głową w krzywe drzwi od chlewu. Padł na kolana, uchwycił się rękami krawędzi drzwi i kuł rytmicznie czarnym łbem w stare deski.

Niemiec na klęczkach wycofał się z powrotem do chlewu. Siadł przy poległym, wyszukał palcami oczodoły, nakrył je dłonią.

– Wstawaj, Anioł! – krzyknął Achilles. – Słyszysz? Starczy tego czarowania.

Ale on nie chciał słuchać. Huczał tymi wrotami w coraz zajadlejszym rytmie. Zobaczyliśmy na spłowiłych deskach jakieś plamy, pewnie krwi Anioła.

– Strzelec Anioł! Doo mnie bieeeğim! – chwycił się ostatecznego środka Achilles.

– On udaje – powiedziałem cicho.

– A ty nie wierzysz w Boga?

– Zawsze wierzyłem. Teraz nie wiem.

Łysy odciągnął siłą Anioła od chlewu. Włókł go jak worek pełen szamoczących się zwierząt.

– Straszna dzicz – dodałem. – Barbarzyństwo.

– Tak myślisz? – rzekł Achilles żując pustymi szczękami.

– A ty nie jesteś pewien?

Wtedy wstał z klęczek Pan. Otrzeptał spodnie z grudek zmarzliny.

– No i już. Po wszystkim.

Niebo na północy podobne już było temu na wschodzie i na południu. Takie same robaczki świętojańskie świetlnych pocisków pełzały tam pionowo nad czarnym urwiskiem puszczy.

Ktoś niecierpliwie stukał palcami o szybę. To komendant przyzywał nas z chaty Abramowiczów.

Od rudowłosej Heni wychodził właśnie Franc. Montował starannie furażerkę lotniczą na swej ogromnej głowie.

– Franiu, jak było? – zapytał Pan.

– Ooo – podniósł obie białe, kolosalne dłonie Franc, były lotnik. – Prima. Una ma tak – pokazał, że ona ma w poprzek.

– Nie bujaj, cholero – wzdrygnął się Pan.

– Boga kocham. O tak – i jeszcze raz pokazał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI